

Jerzy Borysowicz

Wspomnienia więzienne

Niepodległość i Pamięć 4/1 (7) [2], 327-350

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

"Niepodległość i Pamięć"
R. IV, Nr 1(7), 1997

Jerzy Borysowicz

Wspomnienia więzienne

*Polacy z Litwy odgradzeni słomianymi wiechami od Ojczyzny¹
"„zachowali wierność mowie i tradycjom ojczystym,
życiem i śmiercią świadcząc o swojej więzi z Polską"
(z tablicy pamiątkowej w katedrze św. Jana Chrzciciela w Warszawie)*

Moje wspomnienia więzienne były pisane w 1948 roku w obozie karnym przy ulicy Rossa w Wilnie. Notatki pisałem pospiesznie i w ukryciu, gdyż spodziewałem się, że każdego dnia mogę być wywołany na etap na daleki Wschód, a notes, w którym notowałem swoje wspomnienia nosiłem zawsze przy sobie, obawiając się rewizji w celi podczas naszej nieobecności.

Wszystkie notatki, grypsy pisane "na żywo" mają większą wiarygodność i wartość historyczną niż pamiętki pisane po wielu latach, gdyż pamięć jest zawodna i poszczególne fragmenty przeżyć inaczej są odbierane i odczuwane.

W obozie przy ulicy Rossa w Wilnie przebywałem w latach 1947-1948, tj. do wyroku Wojennego Trybunału w Wilnie w dniu 17 stycznia 1947 roku.

Był to zwykły obóz karny, w którym wyroki odbywali więźniowie kryminalni i polityczni, a tych ostatnich nie było zbyt wielu. Obóz ten nie był na zaostrozonym rygorze. Korespondencja, paczki, widzenie z rodziną nie były utrudniane, a nawet w pewnych wypadkach wyrażano zgodę na tak zwane "licznoje swidanije" to znaczy na osobiste widzenie się z żoną przez 24 godziny. W czasie widzenia z mamą, z którą mogłem swobodnie przywitać się, dyskretnie wkładałem do kieszeni pamiętki z obecnego obozu. Podczas ostatniego widzenia, przewidując, że to ostatnie spotkanie - przekazałem moje "Wspomnienia więzienne".

W obozie pracy przy ulicy Rossa było niewielu więźniów politycznych.

Przeważnie wszyscy więźniowie polityczni z tak zwanej "przesyłki" (pieriesylnaja tiurma) przy ulicy Śniegowej, byli wywożeni w głąb Związku Radzieckiego. Jesienią 1947 roku z tej "przesyłki" nieduża grupa więźniów - w której znajdowałem się i ja została doprowadzona do obozu - kolonii przy ulicy Rossa. Tam spotkałem z naszej grupy Genka Dawidowicza². Od razu nasunęły mi się przypuszczenia, że Genek, jak również ja, dostaliśmy się do tego obozu nieprzypadkowo. Okazało się, że żona Gen-

1 Do marca 1938 r. między Polską a Litwą nie było stosunków dyplomatycznych i ustalonej granicy państwowej. Linie demarkacyjną wytyczały słomiane wiechy.

2 Kolega z gimnazjum, członek AK, zastępca pełnomocnika rejonowego w Jaszunach.

ka, przez odpowiednie znajomości i kontakty, znalazła dojście do osób, które decydowały o losie więźnia. Nie były to łatwe starania, by więzień polityczny, powszechnie uznawany za wroga narodu, pozostał w obozie w Wilnie. Wymagały one odpowiednio grubych "załączników". Wydaje mi się, że moja mama będąc w kontakcie z żoną Genka, również skorzystała z tych znajomości - ale za jaką cenę? Mama unikała tego tematu, nie chciała o tym rozmawiać.

Optymizm i głęboka wiara pomogły mi przetrwać te tak trudne lata.

Zawdzięczam to Matce, która w najbardziej trudnych i ciężkich chwilach nie załamывała się, była zawsze pogodna, opanowana i z wiarą patrzyła w przyszłość. Gdy miałem 9 lat, Mama w 1926 roku, wpisała do mojego dzieciennego albumu:

*Cokolwiek spotka cię na ziemi
Ty nie trać wiary w światła moc,
Cokolwiek spotka cię na ziemi
Dzień jasny, czy też noc...*

Z myślą o tym, że moje wspomnienia więzienne przetrwają, że ktoś będzie je czytał, na wstępie "Wspomnień" zapisałem fragment wiersza, podobno poetki litewskiej Salomei Neris, pt. "Grisiu" (Wróćę). Treść tego wiersza usłyszałem pierwszy raz od Litwinów, w celi nr 428, w więzieniu na Łukiszkach. Główna myśl tego wiersza, w luźnym tłumaczeniu z języka litewskiego:

*...długo czekając - zaczekaj jeszcze...
ja wróćę, wróćę na pewno...wróćę,
gdy już nikt nigdzie czekać na mnie nie będzie...*

Tekst "Wspomnień więziennych" jest zgodny z oryginałem, bez poprawienia stylu i ortografii.

Dla ułatwienia percepcji tekst opatrzone przypisami. Zwroty w języku rosyjskim zostały przetłumaczone przez autora "Wspomnień" [Red.].

Cz. I.

Rossa, 1948 r.

Z biegiem czasu niektóre przeżycia stają się nie tak wyraziste, a w dodatku pamięć bardzo osłabła. Dlatego też chcę na tych kartkach zanotować te fakty, jakie zaszły w mem życiu za dwa ubiegłe lata. Jaki los mnie czeka - to wielka niewiadoma. Wszystkich więźniów politycznych z naszej kolonii wywożą na daleki wschód. Lada dzień spodziewam się, że przyjdzie kolej i na mnie. Jestem głęboko przekonany, że sprawa, o którą walczyliśmy będzie rozwiązana bezwzględnie pomyślnie. Ojczyzna nasza będzie znów wolna i niepodległa. To nie ulega najmniejszej wątpliwości, tylko kwestia czasu gra rolę. Wewnętrzne przecucie mówi mi, że doczekam się tej chwili. Wierzę głęboko, że Opiekunka nasza Matka Boska Ostrobramska nie opuści nas i powrócą dni szczęścia i radości.

Aresztowany zostałem w niedzielę 6-go października 1946 roku. Przed aresztem pracowałem w Urzędzie Pełnomocnika Głównego Rzeczypospolitej Polskiej do Spraw

Ewakuacji w Wilnie na stanowisku skarbnika. W pierwszych dniach października otrzymałem list od Matki, która pisała, że zdrowie Ojca pogorszyło się. Dostałem zwolnienie z pracy na parę dni i pojechałem do Kowna. Stan zdrowia Ojca był poważny. Czuję zbliżający się koniec Jego życia. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że tego tak kochanego Człowieka może zabraknąć. Żegnając się ze mną Ojciec również widocznie przeczuwał, że widzimy się ostatni raz i żegnał się tak czule, tak serdecznie. Obu nam łzy stanęły w oczach. Pamiętał o Nulce³ i o jej Rodzicach, chociaż tych ostatnich nie znał.

Szedłem na stację bardzo przygnębiony, a w dodatku wstrętna pogoda jeszcze bardziej usposabiła do czarnych myśli, które mnie nie opuszczały całą drogę.

Tak, to było ostatnie pożegnanie z Ojcem. Więcej już Go nie zobaczyłem.

Wróciłem do Wilna. Pociąg przybył na stację o godz. 17⁴⁵. Wszedłem ze stacji z walizką w ręce i skierowałem się w kierunku autobusu. Nie uszedłem kilku kroków, gdy zatrzymuje mnie cywil i zapytuje o dokumenty. Błyskawiczna myśl przeleciała mnie przez głowę - to już. Ale z pełnym spokojem (dziwię się sam sobie) zapytuje go czy ma on prawo na sprawdzanie dokumentów. W odpowiedzi wyjmuje legitymację, na której od razu zobaczyłem trzy litery MGB⁴. Sprawa była jasna. Pokazuję mu swoje dokumenty. Po uważnym przeczytaniu i dokładnym mnie przejrzeniu się, w sposób bardzo grzeczny powiada mnie, że poszukiwana jest osoba bardzo do mnie podobna, więc trzeba to wyjaśnić i prosi bym szedł z nim do żandarmerii kolejowej. Poszliśmy. W milicji kolejowej siedziałem parę godzin. W tym czasie mój cywil wciąż telefonował do miasta i operował tylko numerami, tak że ze strony mogłoby się wydawać, że centrala źle funkcjonuje i nie może połączyć z proszonym abonentem. Około godz. 8-ej wszedł do pokoju drugi "cywil" i spojrzeniem skomunikował się z moim opiekunem i wyszedł. Takich gości od razu się poznaje. Po pewnej chwili "opiekun" powiada mi bym wziął rzeczy i szedł z nim. Wyszliśmy na ulicę. Przed samym dworcem stała elegancka limuzyna, a szofer zwykłym gestem zaprosił do siadania. Na ulicy było już zupełnie ciemno. Wpakowałem się ze swoim bagażem do maszyny, a z obu stron miałem moich opiekunów, trzeci siadł koło szofera. Ze strony wyglądało to jakgdyby podróżni z pociągu jadą do domu, gdyż ruch na stacji w tym czasie był duży - tylko co przybył pociąg. Jak się potem okazało te wszystkie okoliczności nie były przypadkowe. Starano się, by jak najmniej zwrócono uwagę na nas. Jechaliśmy w milczeniu. Towarzysze moi baczną mieli uwagę na mnie i jedną swą rękę trzymali na palcie. Przed nami jechała ciężarówka ze znakami X - to też było nie przypadkowe. Jechaliśmy bocznymi ulicami aż auto nasze zatrzymało się przed żelazną bramą. W głębi było MGB. Wjechaliśmy w podwórze. Za mną z hukiem zatrzasnęły się wrota. Byłem w ich rękach. Kazano zabrać mnie walizkę i zaprowadzili do małego pokoiku, w którym stał również cywil, który ostrym tonem krzyknął "*ruki w wierch*" i posypała się litania epitetów trudnych do opisania. Rewizja osobista była przeprowadzona ze znaną skrupulatnością. Walizka również była dokładnie sprawdzona. W trakcie rewizji gdzieś za ścianą były puszczone w ruch jakieś maszyny, specjalnie dla zastraszenia, bym mówił prawdę, bo w przeciwnym razie będę męczony. W międzyczasie do pokoju wszedł oficer w randze kapitana, który również pomagał rewidować i przeglądać zawartość mego ubrania. Ów oficer, kapitan Szczerbakow z oddziału *ope-*

3 Sympatia z czasów studenckich.

4 Ministerstwo Gosudarstwiennoj Biezopastnosti - Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego.

ratywnej cząści (wydział obserwacji czynnej) badał mnie w przeciągu tygodnia, a potem przekazał w ręce mego stałego *śledowatiela* (śledczego), lejtnanta Prudnikowa. Po skończonej rewizji poprowadził mnie tenże Szczerbakow do swego pokoju na pierwsze badania. Szedłem z piętra na piętro przez najrozmaitsze labirynty korytarzy i pokoi, tak że zupełnie byłem zdezorientowany gdzie się znajduję. W końcu weszliśmy do pokoju na drzwiach którego był numer 64. Był to gabinet mego pierwszego śledowatiela. W pierwszych chwilach był względem mnie wyjątkowo greczny i uprzejmy. Poprosił usiąść, zaproponował papierosa. Światło lampy stołowej specjalnie było skierowane na moją twarz, jego zaś postać była w pół cieniu. Pierwsze pytanie jak zwykle szablonowe: kto, gdzie itp, jednym słowem musiałem opowiedzieć cały życiorys aż do ostatniej chwili. Wszystko to skrupulatnie notował. Następnie padło pytanie kiedy i w jaki sposób przejawiała się moja działalność podziemna. Naturalnie zaprzeczyłem i przez cały czas stanowczo twierdziłem, że do żadnej nielegalnej organizacji podziemnej nie należałem. Śledowatiel rozżość się, znikła jego uprzejmość i grzeczność.

Niezliczony potok epitetów, łajniny niecenzuralnych wymyśleń potoczył się z jego ust. Ja jednak zachowałem spokój i równowagi nie straciłem nawet w chwilach, gdy kułak jego wciąż migał przed moimi oczami. Po pewnej chwili uspokoił się i przeczytał mnie zeznania [...], który zeznał, że byłem w czasie niemieckiej okupacji w organizacji AK. Zaprzeczyłem, dowodząc, że członkiem AK nie byłem, że [...] nie ma na to żadnych dowodów i upierałem się by dana była mnie z nim "*oczna stawka*" (konfrontacja). Śledowatiel znów wpadł w pasję i zaczął mnie grozić, że za nie mówienie prawdy zostaną ukarani podwójnie, że władze wprowadzam w błąd, że rodzina moja również zostanie aresztowana itp. Po pewnym czasie uspokoił się i zaczął mnie czytać zeznania [...]. Wtedy zrozumiałem, że sprawa moja jest zupełnie przegrana. Zeznania [...] były tak szczegółowe, że poprostu trudno byłoby posądzać, że zeznania te są sfalszowane (bywają takie wypadki). Pierwsze te badania trwały trzy noce.

W dzień mój śledowatiel spał, zostawiając w pokoju dyżurnego, który nie pozwalał mi spać. A gdy oczy poprostu same zamykały się krzyczał: wstać i znów siadałem na brzeg krzesła. To było tak męczące, że na trzecią noc byłem kompletnie wyczerpany nerwowo, moralnie i fizycznie, tak, że wszystko było mi obojętne, chciałem tylko jednego: choćby na chwilę usnąć. I wtedy po przeczytaniu zeznań [...] poprostu sił mi zabrakło do dalszej walki. Opór mój stał. Zeznania dwóch osób i to tak drobiazgowo były dowodem aż nadto wystarczającym. Zrozumiałem, że oporem swym nic nie wygram, sprawa i tak jest jasna, dowody są zbyt poważne by wykręcić się sianem. "My niewinnych nie aresztujemy, takich omyłek u nas nie bywa" - to są słowa śledowatiela. Do pewnego stopnia słuszne, gdyż kto trafił w ich ręce, chociażby i naprawdę niewinny, zwolniony zostanie, ale... jako ich człowiek, na ich służbie. Trzeciego dnia jeszcze raz była przeprowadzona rewizja mojej walizki. Jakie było moje zdumienie, gdy w walizce znaleziono kowalski gwóźdź zawinięty w papier kształtu kołnierzyka. I znów się zaczęło. Skąd ten gwóźdź jest. Kto go włożył? Co on oznacza? Byłem poprostu oghuszony. Na pytanie kto pakował walizkę, odpowiadam - ja. Kładłem ten gwóźdź? Mówię - nie. Więc co to ma znaczyć? Kto go podłożył? Milczałem. Za ten gwóźdź męczyli mnie prawie aż do ostatniego śledztwa tj. do zakończenia sprawy. Domysły moje, że ten gwóźdź prawdopodobnie włożyła Wandzia⁵, jako że Zygmunt⁶ znalazł go w rejonie szpitala uważam, że są

5 Bratowa.

6 Brat .

słuszne, a papier pochodzi z Ziuty⁷ wzorów do szycia. Śledowatek jednak uważał, że to jest "parol *świazi*" (hasło łączniczki) i groził mnie, że ten gwóźdź wbije mnie w głowę, że wtedy przyznam się. Naturalnie moich przypuszczeń o pochodzeniu tego gwóźdźka nie mówiłem, gdyż mówić nie mogłem to wciągnęłoby Wandzię. Taki drobniaczek, a tak wiele mnie nerwów kosztował. Na gwóźdź ten został spisany specjalny protokół, zebrało się kilku śledowatek i z radością zacierali ręce: oto mamy serce "świazi" z Wilnem. Wtedy byłem rzeczywiście zdenerwowany. Dostać w skórę za to co się wie, to rzecz zrozumiała, a teraz grozi mnie porządne pranie i za co? za głupi gwóźdź, który nie ma nic wspólnego z moją sprawą. Ta historia była dla mnie najbardziej męcząca. Z biegiem czasu po dwóch miesiącach badania doszli do przekonania, że jednak ten gwóźdź nie jest żadną "parolą *świazi*".

Tak minęły trzy dni i trzy noce pierwszego badania. Czwartego dnia poprowadzono mnie do podwału (piwnica), gdzie się mieści "wnutrennaja *tjurma*" (więzienie wewnętrzne) MGB. Wprowadzono do dyżurki, gdzie znów rewizja wszystkich rzeczy i ciała. Po pewnym czasie zaprowadzono mnie do tak zw. szafy. "Szafa" składa się z sześciu małych komórek gdzie chwilowo więźniowie są trzymani, by nie widzieli nowych więźniów tym samym korytarzem prowadzonych. Kwadratura takiej komórki nie większa od 1 metra, wysokość półtora metra. Momentalnie zasnąłem, chociaż pozycja była niezwykle niewygodna. Obudziło mnie gwałtowne stukanie do drzwi. Wyprowadzili znów do dyżurki, a stamtąd do podwału. W podwale powietrze było ciężkie, ze ścian ściekała wilgoć. Z hukiem zatrzasnęły się za mną drzwi z krat żelaznych. Szedliśmy korytarzem, który zakręcał to w prawo to w lewo z obu stron korytarza mnóstwo drzwi do cel z numerami i wilczkami⁸, do których co pewien czas dyżurni zaglądali. Wszędzie panowała kompletna cisza. Na załamaniach korytarza zatrzymywaliśmy się, a dyżurny idący przodem rozglądał się czy czasem nie prowadzą innego więźnia, żeby dać znać byśmy się nie zobaczyli. Zaprowadzono nas do łaźni.. Piszę nas, bo do mego towarzystwa dołączono młodego Żyda Szumachera, który został zatrzymany na granicy polskiej. Łaźnia była dobra. Prysznic ciepłej wody dobrze zrobił i na ciało i na samopoczucie moralne.

Z łaźni poprowadzono nas do przejściowej celi Nr 2. Cella była pusta i dosyć czysta. Sprzętu oprócz paraszki (kibel) nie było żadnego. Odrazu zawinąłem się w palto i położyłem się w końcu celi. Ledwo oczy przymknąłem otworzyło się okienko i dyżurny tak zwany "barbos" (barbosami nazywają wszystkich dyżurnych w więzieniu. Słowo pochodzi od pewnej rasy psów) ostrym tonem krzyknął, że nie mamy prawa spać, jeszcze nie było "otboja" (sygnał do ciszy nocnej), że musimy zapoznać się z instrukcją więzienną, która wisi na ścianie, a za jej nie spełnienie pójdziemy do karceru. Do "otboja" nocnej było jeszcze parę godzin. Przeczytałem, tę instrukcję i zapoznałem się jakie mam obowiązki i "prawa" itp., oglądałem ściany z myślą, że może znajdę jakieś nazwisko, lecz ściany były obdrapane i wszystkie notatki starannie zatarte. Bardzo zatem śledzili, by na ścianach nie zostawiać żadnych znaków. Cella nasza była względnie nie taka mała około 5 x 3 metrów. Okno wysoko koło sufitu ze szkłem matowym ze siatką drucianą. Nad drzwiami zamurowana słabo paliła się lampka elektryczna. Podłoga drewniana, kiedyś widocznie była malowana. Stołu, taburetki ani nar nie było, tylko żelazna paraszka, której nakrycie było bardzo problematyczne, więc nic dziwnego, że powietrze było niezbyt przyjemne. W celi było względnie cie-

7 Kuzynka.

8 Judaszami.

pło, chociaż plamy na ścianach dowodziły o silnej wilgoci, a najlepszym dowodem był chleb, który nazajutrz pokrywał się pleśnią.

W celi tej przebywałem około dziesięciu dni. Na badania byłem wzywany dwa razy dziennie. Z rana około godziny 10-ej i śledztwo trwało do godz. 2 - 3 i w nocy około godz. 10-ej do 3 - 4-ej. Wzywano z celi na "bukwę" (literę) B, mówiło się nazwisko, imię, otczestwo. "Sobierajsia bystro" (chodź prędko) padały słowa i wyprowadzano. Na korytarzu komenda "ruki na zad" (ręce do tyłu), a barbos chwycił za rękę i mocno trzymając poprostu pchał przed siebie tak, że musiałem iść bardzo szybkim krokiem prawie biegiem, a ponieważ pokój mego śledowatiela był na piątym piętrze, więc wpadałem na śledztwo poprostu zadyszany.

Czas wolny od śledztwa człowiek spędzał na rozmyślaniu nad swym losem, a najbardziej męczące były myśli o domu, o Matce, Ojcu, Nulce, o wszystkim co drogie i kochane. Te pierwsze dni były ciężkie, bardzo ciężkie. Poprostu nie chciało się pogodzić z tą myślą, że człowiek został pozbawiony wolności i nic nie wie co go czeka, że może stracić wszystko na zawsze. I taki żal, żal tych pięknych dni swobody, tego szczęścia osobistego, a szczególnie odczułem to, że to szczęście, o które tyle się walczyło i zdawałoby się, już osiągalne, zginęło, ten gmach tak cierpliwie, tak misternie budowany - runął. I taka tęsknota, niewypowiedziany ogrom żalu i bólu, że człowiek miejsca nie mógł znaleźć. Ciężkie to były chwile. Ale trzeba było z losem pogodzić się. A te myśli nie opuszczały mnie i nie mogłem od nich uciec. Więc bywały chwile, że poprostu głową trząsałem, jakgdyby w ten sposób odpędzę się od tych myśli. A przed oczyma wciąż stała twarz Matki, to Nulki, to znów biednego chorego Ojca.

I tak mijaj dzień za dniem. Dzień był długi. Żeby czemkolwiek zająć się liczyłem muchy, to znów czytałem instrukcję, starałem się przypomnieć wiersze i piosenki, zmuszałem siebie do rozmowy z tym moim towarzyszem - Żydem ale wszystko to było takie jakieś oderwane, słowa nie łączyły się w całość, gdyż myśl wciąż leciała tam do Was, na wolność.

W kilka dni wprowadzono do naszej celi prof. ks. Kemešysa. Był bardzo podenerwowany, tak że rozmowa nie kleiła się. Z czasem prowadziliśmy długie rozmowy, znaleźliśmy wspólnych znajomych. A że był to człowiek bardzo inteligentny, dłuższy czas mieszkał w Ameryce, więc dużo ciekawych rzeczy od niego dowiedziałem się. Z profesorem potem spotkałem się na Łukiszkach, ale jak bardzo był zmieniony, połowa go została.

Pewnej nocy, gdy tylko wróciłem z badania, znów wywołują mnie na "bukwę", ale z "wieszczami" (rzeczami). Żal mi było opuszczać towarzyszy, z którymi już zżyłem się. Zaprowadzono mnie do celi, na drzwiach której był N 34. Na hałas otwieranych drzwi z podłogi podniosło się sześć osób. Ich śmiertelna bladość, dziwny blask oczu, zarost, ponure światło, silnie na mnie podziałało. Ten obraz i teraz pozostał w pamięci. To było pierwsze spotkanie z więźniami. Posypały się pytania: kto, skąd, za co. Dyżurny wciąż nas upominał, byśmy nie podnosili hałasu, spali, ale jednak my szepcąc wciąż rozmawialiśmy. Ich interesowały wiadomości ze świata, mnie ich przeżycia, itp. Z sześciu tych osób czterech było Litwinów (między nimi Gorodeckas ze sprawy Boruty)⁹ i dwóch Polaków: inż. Jaroszewicz¹⁰ i inż. B. Krzyżanowski¹¹. Tego ostat-

9 W celi nr 34 dowiedziałem się, że Gorodeckas był oskarżony o współpracę z nielegalną litewską organizacją Boruta.

10 Inż. Stanisław Jaroszewicz - pseudonim "Kreczet", rotmistrz.

11 Inż. Bronisław Krzyżanowski, pseudonim "Bałtruk" dowódca dywersyjnego oddziału "Baza-Miód" Kedywu Okręgu Wileńskiego AK.

niego znałem na wolności, pracował w Urzędzie Pełnomocnika, a obecnie poznałem tylko po głosie tak był zmieniony. Przeżył on wiele. Ślady bicia (z lipca, a ja go spotkałem w październiku) były jeszcze krwawe, blizny pozostały głębokie bardzo (grubości palca), pozwalano mu w dzień leżeć.

W celi 34-ej byłem parę dni, trójkę nas Polaków zabrano i zamknięto w celi 17, w której było sześciu Litwinów. Byliśmy w tej celi do połowy listopada i dobrze nam tam było, gdyż człowiek w takich warunkach bardzo szybko zżywa się. Z celi n 17 przenieśli nas wszystkich do celi N 27, w której byliśmy do 14 grudnia. Tego dnia naszą trójkę rozdzielili. Broniek pozostał na miejscu, mnie przenieśli do celi N 21, Jaroszewicza do N 18. W celi tej ostatniej byłem aż do sądu tj. 17-ego stycznia 47 roku.

Pierwszy ten okres więzienny bardzo głęboko utkwił mi w pamięci, dlatego też pozostały jaskrawe wszystkie drobne szczegóły. Dziś dużo rzeczy pozapominało się i nie mogę wszystkiego dokładnie przypomnieć, jak się nasze życie układało w późniejszym okresie. Dlatego też wspomnę niektóre szczegóły, które dziś jeszcze pamiętam.

Pamięć u nas wszystkich bardzo osłabła. Zaduch jaki panował w celach, ciągła senność ujemnie wpływały na wszystko. Zmuszaliśmy się do gimnastyki umysłowej, uczyliśmy się z Bronkiem języków (angielskiego ja, a on - litewskiego), opowiadaliśmy wzajemnie swoje przeżycia, uczyliśmy się historii Rosji (opowiadał Jaroszewicz). Każdy opowiadał o swojej specjalności itp. Z Bronkiem na wolności spotykaliśmy się dość rzadko, nie byliśmy w bliskich stosunkach, a w więzieniu dziwną do niego poczułem sympatię, w przeciwieństwie do Jaroszewicza. I nie pomyliłem się starając się bardziej zbliżyć z nim niż z tym ostatnim. Broniek jak i Jaroszewicz byli z tej samej sprawy co i ja tylko z innej grupy wieleńskiej. Broniek był bity bardzo mocno i to od pierwszego dnia aresztowania. W ostatnich czasach bicie tj. "pranie" śledowateli mógł prowadzić tylko za pozwoleniem ministra MGB generała Afimowa. Bez pozwolenia śledowateli bił na własną rękę kułakiem lub nogą brykał. Takie bicie to nie nazywało się biciem. Bicie z pozwoleniem odbywało się w asyście kilku osób. Często był sam minister. Bito przeważnie tzw. bananem tj. pałką gumową, sam zaś generał bił bananem, w środku którego był pręt stalowy. Bito przeważnie po plecach, głowie, no i naturalnie w tylną część ciała. Przed egzekucją padała komenda "snimaj sztany" (zdejmij spodnie). Aby nie było słychać krzyku, w usta wkładali chustkę i jeden trzymał za głowę, drugi za nogi, trzeci bił. Starano się bić w jedno i to samo miejsce i to bardzo precyzyjnie, uderzano wtedy, gdy człowiek na to nie był przygotowany tj. mięśnie były odprężone. Broniek miał takie przejście: mocno go bili w oddziale operatywnym, ale tem biciem nic nie wskórali. Rozzłoszczony śledowateli poprowadził go na górę, do swego pokoju i tu znowu zaczęła się łaźnia. Broniek był do ostateczności zdenerwowany i nie wytrzymał. Skoczył z podłogi i chwycił śledowatiela za gardło. Ten przeraźliwie krzyknął, do pokoju wpadł dyżurny z korytarza. Wtedy Broniek puścił swego oprawcę i skoczył do okna. Chciał się rzucić z piątego piętra i w ten sposób skończyć z życiem, ale nie zdążył, gdyż pochwyciono go. Wtedy rozpoczęło się bicie, w porównaniu z poprzednim to było prosto znęcanie się nad ofiarą. Wyłamał śledowateli pręt żelazny z okna i tem go bił. Broniek chociaż był powalony, jednak rzucał się całym ciałem po podłodze i starał się uderzyć głową w kant biurka, by stracić przytomność, jednak to mu się nie udało, spostrzegli jego zamiar. Zlanego krwią wrzucono do dyżurki, gdzie rzemieniem związano mu ręce tak silnie, że popro-

stu wył. Potem wrzucono do karceru, gdzie przesiedział 14 dni (bezprawnie, gdyż mogą sadzić bez przerwy tylko na 7 dni) i był wzywany na badanie w kajdanach na rękach. Potem rozchorował się, nic nie jadł, spał w karcerze na chlebie (podłoga cementowa zimna). Po jakimś czasie zmieniono mu śledowatiela, a jego przeniesiono do kamery, gdzie zrobiono mu pierwszy opatrunek. Ja go zobaczyłem po trzech miesiącach, a jeszcze był bardzo osłabiony, obandażowany, rany jeszcze krwawiły. Nic dziwnego, że poznałem go tylko po głosie. A że posadzono mnie razem z nim, to należy przypuszczać nie było przypadkowe, a z góry uplanowane, by moralnie mnie zgniebić i załamać. Broniek (pseudonim "Bałtruk") dzielnie zniósł rękę oprawców.

Drugim moim towarzyszem, z którym również jak z Bronkiem przesiedziałem w jednej celi dwa i pół miesiąca, był inż. Jaroszewicz (pseudonim "Kreczet"). Starszy ten człowiek (lat około 60-ciu) był wojskowy z armii carskiej i Niepodległej Polski w stopniu rotmistrza, był człowiekiem bardzo nerwowym, neurastenik, despota. Nie poczułem do niego sympatii, chociaż on starał się do mnie zbliżyć. Jak się potem okazało, robiono mu propozycję, by badał mnie w celu przekazywania wiadomości śledowatielowi i w ogóle, by opowiadał jak się zachowuję i co opowiadał o swojej sprawie. No on podobno (jak sam twierdził) na to się nie zgodził. Trudno jest dziś dowiedzieć się prawdy. W każdym bądź razie nie czułem i nie czuję nadal do niego sympatii, a wpłynęło na to i to, że Broniek i jego towarzyszkę również nie odzywali się o nim pochlebnie. Jaroszewicz był w tej samej sprawie co i Broniek.

I tak mijał dzień za dniem. Pierwszy miesiąc byłem badany dwa razy na dobę, w dzień i w nocy. W drugim miesiącu badania odbywały się tylko raz w nocy. Te ciągłe badania wyczerpywały nerwowo i fizycznie. Na sam odgłos otwieranego okienka w celi, dreszcz przebiegał po skórze i czekało się by tylko na "bukwę B" nie wołano. A najgorzej, gdy człowiek zaśnie i budzą go na "bukwę". W dzień spać czy też leżeć nie pozwalano, więc ciągła senność niedospanych nocy i ciężkiego powietrza w celi, była bardzo męcząca. Program dzienny przedstawiał się następująco: "podjom" (pobudka) o godz. 6-cj, potem tzw. "uborka" - sprzątanie celi (każdy po kolei) i ranna toaleta, hasłem której były słowa dyżurnego barbosa: paraszka. Wynosiliśmy paraszkę i szedliśmy do ubornej naturalnie z wielką radością, gdyż umyć się to rozkosz. Śniadanie było koło 7-ej. Dawano kipiatok (bez cukru) i 600 gr chleba na cały dzień. Po śniadaniu często robiliśmy spacer po celi, a potem czekaliśmy wizyty doktorki i pragułki. Obiad był o 12-ej i składał się z miski zupy lub kaszy. Po obiedzie chciało się zdrzemnąć, więc czasem jeden drugiego zasłaniał i tak niby się spało, ale było bardzo trudno. Dyżurni bardzo często zaglądali przez wilczek i to tak cicho podchodzili, że nowicjusz tego nie zauważał. Z czasem dochodziło się do takiej wprawy, że najmniejszy odgłos z korytarza wystarczał by osądzić co ma być. Szachy, rycz-racz¹² (z chleba) lub opowiadania i dyskusja zapełniały czas do kolacji. Te godziny były najbardziej długie. Po kolacji (zupa) znów uborka, czasem udawało się umyć i czekało się sygnału "otboj". I tak mijał dzień, tydzień, miesiąc. Dzień wydawał się bardzo długi, ale tydzień prędko mijał. Naturalnie otrzymywane paczki dzieliiliśmy na współtowarzyszy, gdyż zawsze było kilku którzy paczek nie otrzymywali. Bronkowi paczki były zabronione, zaczął otrzymywać prawie przed samym zakończeniem sprawy. Wiadomość o śmierci Ojca silnie na mnie zrobiła wrażenie, chociaż byłem na to przygotowany. Spodziewałem się tego. Tego dnia (zdaje mi się, że to było 28 listopada)

12 Gra - chińczyk

miałem "oczną stawkę" z [...] Gdy jego wyprowadzano mój śledowateł Prudnikow powiedział mi, że trzy dni temu, gdy robiono u nas w domu rewizję zmarł mój Ojciec. Proszono o tem mnie zawiadomić. Dodał również, że brat jest w domu i czuje się nieźle. Muszę przyznać, że mój śledowateł był jednak na tyle delikatny, że zaraz poprowadził mnie do celi i nazajutrz nie wzywał na badania. Gdy wszedłem do swej celi (a wracało się do niej zawsze z taką ulgą, jakby do domu) nerwy moje i tak rozstrzęsione nie wytrzymały, rozplakałem się jak dziecko. Tak strasznie było smutno, bo nawet ostatni raz spojrzeć na Ojca nie mogłem. Usta tylko szeptały słowa modlitwy za Jego duszę. I w takiej chwili jeden z moich towarzyszy Litwin Zigmias Małunawičius (wieśniak z Żosel) zwrócił się do wszystkich w celi by zmówiono Anioł Pański za duszę mego Ojca. Byłem głęboko wdzięczny i rozczulony tym jego postępkim. Ta chwila głęboko utkwiała w mej pamięci.

Dłuższy czas nie mogłem się uspokoić, a jeszcze bardziej wpływały na to myśli o biednej mej matce, na którą spadały cios za ciosem. Choroba Zygmunta, moje aresztowanie, a teraz śmierć Ojca. I spokoju nie mogłem znaleźć, gdyż w sercu taki żal, że tego nie sposób wypowiedzieć, więc i łzy toczyły się po mojej twarzy i jakgdyby ulgę przynosiły. I od tego dnia zawsze wieczorem mówię Anioł Pański za duszę Ojca. Warunki w jakich byliśmy samo przez się nastrajały nas wszystkich, by rano i wieczorem chwilę czasu poświęcić modlitwie. Modlili się wszyscy i to od pierwszego dnia aresztu. Ponieważ prawie w każdej celi był ksiądz, więc bywały modlitwy i wspólne, chociaż bardzo trudno było to wykonać, gdyż barbosi baczną na to mieli uwagę. Niektórzy nie pozwalali klęczeć przy ścianie (posądzali, że dana osoba przestukuje się przez ścianę z sąsiednią celą). A tak przyjemnie pomodlić się, człowieka ogarnia spokój, a jednocześnie wzbiera wiara o przyszły swój los. Modlitwa ma od pierwszego dnia aresztu była poświęcona za zdrowie Ojca, a od chwili Jego zgonu - za duszę Jego, o dodanie sił i zdrowia Matce, za powrót do zdrowia brata, za opiekę nad Nulką, w ostatnich słowach zwracałem się z prośbą do Boga: Ojczyźnie wolność racz nam zwrócić Panie; i o opiekę, o zdrowie i wiarę dla siebie. Modlitwa była kierowania do Matki Boskiej Ostrobramskiej naszej Opiekunki i Pocieszycielki. Modlitwę tę odmawiam i teraz.

Wielkie wrażenie robiły na nas otrzymywane z domu paczki. Szczególnie pierwsza paczka poprostu człowieka oszałamiała. Każdy przysłany drobiazg taki był drogi, bo to było jakby łącznością z Waszym światem, którego zostałem pozbawiony. Każde słowo pisane Waszą ręką było tak bardzo kochane, tak chciałyby się chociażby na dłużej zostawić sobie tę kartkę jednak po przeczytaniu i podpisaniu się musieliśmy te kartki zwracać. Tak chciałyby się na tych kartkach chociażby parę słów napisać z podziękowaniem i jednocześnie zawiadomić, że jestem zdrow, że czuję się względnie nieźle. Ale tego nam nie pozwalano.

Pod koniec listopada otrzymałem paczkę. Między innymi przysłanymi rzeczami był tytoń w woreczku, który uszył sobie Ojciec i bibułka do palenia z czarnymi plamami z atramentu. To było powiadomienie o śmierci Ojca. Niektóre rzeczy jak brudną bieliznę pozwalano zwracać z powrotem. Ponieważ każda zwracana rzecz była bardzo skrupulatnie sprawdzana, więc głowiliśmy się w jaki sposób przestać do domu wiadomość o sobie i aby tego nie zauważył "pieredacznik" (przekazujący). W grudniu, gdy sprawa nasza została zakończona i czekaliśmy na sąd, zaryzykowałem i na chustce do nosa, którą zwracałem do domu, wyszyłem znakami Morsa, że jestem zdrow, czekam sądu. To samo powtórzyłem na skarpetce. Rzeczy te doszły do domu tylko prawdopo-

dobnie nie zauważono mego "listu", gdyż tę samą chustkę do nosa otrzymałem na Łukiszkach i wyszyte moje znaki jeszcze były. Przeglądając otrzymane produkty i bieleznię, każdą najdrobniejszą rzecz bardzo szczegółowo badaliśmy z myślą, że może jest list. W jednej z paczek otrzymałem chustkę do nosa, na której dużo było kropek od atramentu zielonego. Wszyscy po kolei przeglądaliśmy, doszukując się w tych kropkach sensu, znaku, który mógłby wyjaśnić co one oznaczają. W pewnym miejscu kropki te układały się w kształt Wielkiej Niedźwiedzicy. Niektórzy tłumaczyli, że ma to oznaczać: bądź pogodny tj. dobrej myśli. Inni tłumaczyli, że może ma to związek z "Kochankiem Wielkiej Niedźwiedzicy"¹³, więc albo czekają przemycenia ode mnie jakiejś wiadomości, albo sami to chcą zrobić. Dłuższy czas tę chustkę chowałem i od czasu do czasu powtórnie przeglądałem chcąc rozwiązać tę zagadkę. Jak się potem okazało te kropki od atramentu były zupełnie przypadkowe. Tak samo i kartki (spis przysłanych produktów) były pisane ręką Nulki i zielonym atramentem, co sobie tłumaczyłem, że ten zielony atrament ma oznaczać nadzieję tj. bym nie tracił wiary i nadziei w przyszłość.

Jeszcze jeden fakt z otrzymanych paczek pozostał długo w pamięci, to było wtedy, gdy tego samego dnia z Bronkiem otrzymaliśmy wojtoki, i w danym momencie byliśmy tak dobrze usposobieni, że jakgdyby zgadując myśl jeden drugiego, włożyliśmy wojtoki i zatańczyliśmy w nich ... mazura.

Wieczorami często bardzo przestukiwaliśmy się z sąsiednimi celami za pomocą znaków Morse'a. Kropka oznaczała jedno uderzenie, kreska - dwa uderzenia. Stukać trzeba było bardzo ostrożnie, gdyż barbosi specjalnie za tem śledzili i pilnowali, dlatego też w swoim czasie pozwalano siedzieć nie bliżej pół metra od ściany, a przecież takie siedzenie na podłodze bez oparcia jest bardzo męczące. Potem to rozporządzenie zniesiono. Gdy jeden stukał, dwóch stało przy drzwiach na zeksa¹⁴. Z biegiem czasu przestukiwanie odbywało się bardzo szybko i wprawnie, podawaliśmy przez ścianę wiadomości dnia, zapytania, odpowiedzi o znajomych a czasem i wiadomości polityczne, które nadawało się dowiedzieć w czasie śledztwa, gdy śledowatiele czytali gazetę, przeczytać nagłówek jakiejś wiadomości, to było bardzo ważne i cienione. Drugie źródło to były "pieredacze" (paczki), gdy niektórzy otrzymywali tytoń a zamiast bibułki pokrajaną gazetę, którą się potem składało i odczytywało.

Będąc w 17-ej celi przestukując się z celą 18-tą dowiedziałem się, że tam siedzi Montowtt¹⁵ i jeszcze jeden Polak, również z tej samej sprawy. Stukać trzeba było bardzo ostrożnie i z tego względu, że prawie w każdej celi (na szczęście - siedem osób) był człowiek posadzony ze specjalnym zadaniem, który donosił co się w celi robi. Takiego osobnika można odszyfrować, gdyż często sam siebie zdradza. Chcąc z Bronkiem prowadzić rozmowy poufne, siadałem koło niego i "rozmawialiśmy" za pomocą znaków Morza stukając palcem w jego dłoń, on również "odpowiadał" mi w ten sposób. Rozmawialiśmy i po angielsku, lecz to było dosyć trudne, gdyż nie władam tym językiem tak swobodnie jak on. Opowiadano, że jakoby biskup Borisevicius, który również siedział w MGB (nawiasem mówiąc został skazany na karę śmierci, potem wyrok jakoby zmieniono chociaż on nie pisał o ulaskawieniu) przez ścianę za pomocą Morza dał rozgrzeszenie jednemu więźniowi, który był skazany na karę śmierci.

13 Powieść S. Piaseckiego.

14 Na czatach.

15 Karol Montowtt, rolnik, członek AK.

Jedno z zajęć, które w warunkach więziennych daje wypoczynek i spokój to - szyć. Polubiłem tę "pracę" i często tem się zajmowałem. Naturalnie brak igły zmuszał nas do najrozmaitszych pomysłów. Nie mieliśmy w celach ani kawałka jakiegokolwiek metalu czy żelaza, gdyż wszystkie metalowe guziki, sprzączki były wykrajane a pozatym częste rewizje uniemożliwały przechowywanie z trudem zdobytej blaszki. Igły robiliśmy z zapatek, ścierając ją i w ten sposób ostrząc o ścianę. Najtrudniejsze to było wykonanie dziurki w tej naszej prymitywnej "igle". Bezwarunkowo igły takie często się łamały i dla zacerowania małej dziurki trzeba było kilku takich igieł. Ale przecież czasu mieliśmy pod dostatkiem. Brak papieru również bardzo dotkliwie odczuwaliśmy, gdyż wszystkie papiery z paczek były zabierane. Papier głównie był potrzebny przy załatwianiu swych czynności fizjologicznych. W pierwszych dniach, gdy nie miałem z sobą nawet gałgana, papier musiała zastąpić woda, a potem gałganki.

Pierwszego grudnia wywołano znów mnie na "bukwę". Zaprowadzono do śledowatego, a u niego w pokoju była już cała nasza paczka. Pierwszy to raz wszyscy spotkaliśmy się. Naturalnie nie pozwalano nam z sobą rozmawiać, ale jednak siedząc obok siebie czasem udawało się wymienić parę słów. Było nas jedenastu: Gienek D., Jarek K., Hela G., Janka St., Jadzia Ł., jej brat Tadzik Ł., Wiktor Cz., Karol M., Michał M., Władysław K. i ja¹⁶. Tego dnia sprawa nasza została zakończona i rozpoczęło się czytanie sprawy t.j. w/g ustawy 206¹⁷. Były czytane wszystkie protokoły, zeznania wszystkich. Z tego można było osądzić całokształt sprawy i dowody obciążające każdego z nas.

O ile chodzi o naszą sprawę, to w krótkich słowach przedstawiała się następująco: A.K. na wiosnę 1945 r. oficjalnie była rozwiązana¹⁸.

Kilka miesięcy trwały prace likwidacyjne, po mimo to kontakty nie były przerwane, i od czasu do czasu były prowadzone prace w celu przetrwania ludzi do Polski. W 1946 r. byłem członkiem A.K. było zawiadomiono, że AK wznawia swą działalność. Faktycznie to nie była AK, a nowa organizacja typu wywiadowczego "AUSZRA"¹⁹. O nazwie tej organizacji i o właściwych jej celach na terenie kowieńszczyzny - nie wiedzieliśmy. Sama nazwa "AUSZRA" była obrona litewska, by w razie wykrycia, władze szukały nici wśród Litwinów. "AUSZRA" była siostrzyczką "LICEUM"²⁰, które działało na terenie Polski.

"AUSZRA" obejmowała nie tylko Wileńszczyznę i Kowieńszczyznę, poszczególne grupy czy jednostki były porozrzucane zaczynając od Moskwy, Smoleńska, Mińska aż

16 Eugeniusz Dawidowicz, Jarosław Kielczewski, Helena Garszwo, Janina Stankiewicz, Jadwiga Lancewicz, Tadeusz Lancewicz, Wiktor Czepowicz, Karol Montowtt, Michał Monkiewicz, Władysław Korkoz - wszyscy członkowie AK.

17 Dotyczy zakończenia śledztwa, podczas którego oskarżonym odczytywano zeznania poszczególnych świadków.

18 19 stycznia 1945 r. Ostatni rozkaz Komendanta Głównego Armii Krajowej gen. Leopolda Okulickiego *"Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą swą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa Polskiego i ochrony ludności polskiej przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami Niepodległego Państwa Polskiego"*. W tym działaniu każdy z Was musi być dla siebie dowódcą. W przekonaniu, że rozkaz ten spełnicie, że zostaniecie na zawsze wierni tylko Polsce oraz by Wam ułatwić dalszą pracę zwalnam Was z przysięgi i rozwiązuję szeregi AK. Niech Żyje Wolna, Niepodległa, Szczęśliwa Polska". D-ca Sił Zbrojnych w Kraju /-/ NIEDŹWIADEK gen. bryg.

UWAGA: Rozkaz niniejszy trzeba podać do wiadomości: - wszystkich żołnierzy AK, - ich córkom, synom i wnukom.

do Królewca. To był daleki wywiad. Tak zwana "Wielka Dwójka" została przeorganizowana w "AUSZRE" i bezpośrednio była pod kierownictwem sztabu wywiadowczego Andersa¹⁹.

Która "siostra" została pierwsza odkryta, "AUSZRA" czy "LICEUM" trudno dziś nam osądzić. Warszawa oskarża nas, my Warszawę. Szefem "Wielkiej Dwójki" czyli później "AUSZRY" był Sikora²⁰. On pierwszy był aresztowany i wtedy posypały się areszty pozostałych grup. Zeznania Sikory były bezwzględnie kompromitujące, jako szef, nie miał prawa dawać takich zeznań, więc ogólne panuje wśród nas przekonanie, że ten człowiek był zwerbowany. Nie wiadomo co się z nim stało. Nie był sądzony

19 Stanisława Gortyńska pseud. "Komarowa" żołnierz AK Oddz. Baza Miód Wilno w sprawozdaniu z lutego 1978 r. tak określiła "AUSZRE" i jej szefa Tadeusza Sikorę:

"Jesienią 1945 r. zetknęłam się z grupą o kryptonimie "AUSZRA" w Wilnie. Była to wg słów Basii Skalskiej pseud. "Jaskółka" resztówka dowództwa wileńskiego AK rozbitego w niekończących się aresztach i wywózkach od lipca 1944 r. Skrzynkę dla otrzymywania lewych kart ewakuacyjnych obsługiwała Zuzanna Kozdoj pseud. "Magda". U "Magdy" poznałam jakoby komendanta "AUSZRY" Tadeusza Sikorę pseud. "Wuj", "Cichy", "Wichura". Tam też poznałam jego z-cę pseud. "Światłowicz". Dokumenty robił Barsengow pseud. "Ciotka". Od wiosny 1946 r. towarzystwo to zaczęło wpadać: Basia, Magda, Sikora, Światłowicz.

W kwietniu spotkałam Sikorę w roli portiera w biurze ewakuacyjnym na Wileńskiej. Mówił, że został zwolniony. Natomiast aresztowani zostali dwaj bracia Bielawscy (Kazimierz - ksiądz i Edwin - burmistrz mta Mołodeczna), a także Henryk Ambroszkiewicz. "Ciotka" wyjechał do Polski. 10 lipca 1946 r. zostałam aresztowana.

W czasie badania przeprowadzono Sikorę. Był ucharakteryzowany. Miał bujną brodę, a przecież kilka tygodni temu widziałam go wygolonego. "Musisz pani powiedzieć wszystko, gdyż wszystko jest wiadomo" - oto jego słowa.

Przez celę Nr 5 oprócz "Magdy" przewinęły się Polki: Jadwiga Olechno vel Olechnowicz ps. "Brzózka", Jadwiga Chodkiewiczówna, Janina Stankiewiczówna z Kowna. Od niej dowiedzieliśmy się o wielkich aresztach kowieńskich Polaków: Helena Garszwo - bita w czasie śledztwa, Jadwiga Lancewicz, Tadeusz Lancewicz, Eugeniusz Dawidowicz, Jerzy Borysowicz.

W początkach grudnia zaczęło się odczytywanie tzw. "206". Okazało się, że 10 osobowa grupa (Zuzanna Kozdoj, Barbara Skalska, Zula Rymkiewiczówna, Bronisław Krzyżanowski, Ks. Kazimierz Bielawski, Edwin Bielawski, Henryk Ambroszkiewicz, Jaroszewicz pseud. "Kreczet", Staszalek, Stanisława Gortyńska) to jedna z licznych grup polskich, wszystkie związane ze sprawą "AUSZRY".

Przez kilka dni i nocy wysłuchiwalimy naszych zeznań, które odczytywali zmieniający się śledczy.

I oto przyszły protokoły zeznań Tadeusza Sikory, nieobecnego na sali. Posypały się referaty na temat każdego z nas. Opis zewnętrzny, Zajęcie. Ocena działalności. Powiedziane było wszystko co ten człowiek wiedział o działalności każdego. Wyczerpująco. To nie były zeznania wydzierane siłą. Były to kompletne, wyczerpujące referaty. Zasypane było Wilno, Kowno, Jaszuny, Mińsk, Królewiec, Warszawa, a nawet podane były adresy w Berlinie i w Moskwie. Zasypane placówki Biur Ewakuacyjnych na Wileńszczyźnie i na Litwie. Wymienione były setki nazwisk. Objaśniona została cała procedura kart ewakuacyjnych z tzw. martwymi duszami włącznie.

Wszystko, co napisałam jest zgodne z moim najgłębszym przekonaniem na podstawie faktów, z którymi się zetknęłam. Ogólnie biorąc rzecz ta wymaga jakiegoś wyjaśnienia póki żyją świadkowie wydarzeń".

Stanisława Gortyńska pseud. "Komarowa" więzień specjalistów w polamej strefie ZSRR w 1954 r. wróciła do Polski.

z żadną naszą grupą. Może jest na wolności i dalej "pracuje" tylko już nie dla nas. Trudno jest dziś go sądzić ale poważne fakty przemawiają przeciwko niemu²⁰²¹.

Podczas śledztwa "AURSZA" była rozbita na kilka grup i każda grupa była sądzona oddzielnie: grupa Świątłowicza²² (10 osób) wchodziła w nią Marysia Truchanowiczówna, Potocki i inni (nazwisk nie pamiętam); druga grupa Jaroszewicza i Krzyżanowskiego (bracia Bielawscy, Ambroszkiewicz, Chyliński, Tania Gortyńska, Staszalek, Skalska "Jaskółka", Basia i inni - osób 11-cie); trzecia grupa olicka 10 osób (bracia Dabulowiczowie i inni); czwarta grupa nasza kowieńsko-kiejdańska; piąta Barsego²³ "Ciotka", Dzierzanowski. (Barsego "Ciotka" był aresztowany w Warszawie i przywieziony na śledztwo i sąd do Wilna).

Ogółem sprawa "AUSZRY" obejmowała około 70 osób. Czytanie sprawy trwało trzy dni. Wszyscy z ulgą no i z radością odetchnęliśmy. Nie będą nas więcej wzywali na "bukwę". Co za rozkosz spokojnie w celi siedzieć, a jak przyjemnie przygotowywać się do snu z pewnością, że noc przejdzie spokojnie. Półtora miesiąca to naprawdę był wypoczynek.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Smutne to były Święta, gdyż nie tylko warunki w jakich byłem wpływały na to. Przed samymi Świętami (15 grudnia) przeniesiono mnie do innej celi (Nr 21) i musiałem rozstać się ze swoimi towarzyszami, a szczególnie Bronka było mnie niezmiernie żal. W nowej celi byli sami Litwini i jeden Żyd. Był i ksiądz z Trok. Spodziewaliśmy się, że na Święta będziemy mieli i jego towarzystwo, lecz tak nie było. W przeddzień Wilji wprowadzono do nas nowego księdza Mickusa z Grynkiszek. Był to staruszek, 78-letni, chory, ledwo żywy. Chorował na zapalenie pęcherza, więc ciągle moczył się, robiono mu operację, zaduch w celi był okropny. Żal nam go było i prosiliśmy by go zabrano do szpitala ze względu na stan jego zdrowia i na stan powietrza w celi. W dzień Wilji zabrano go, faktycznie musieliśmy go wynieść, gdyż sam nie miał sił, zabrano również księdza z Trok. Jak się później dowiedziałem Ksiądz Mickus zmarł w szpitalu na Łukiskach.

Przygotowywaliśmy się do Wilji. Było nas sześciu i taka szkoda, że nie było księdza z Trok. Ponieważ ja jeden w tym czasie otrzymałem paczkę, jodełkę i opłatek, więc zająłem się, by dzień Wilji minął, na ile pozwalają nasze warunki, uroczystości. Ponieważ mieliśmy stół, więc zastaliśmy go ręcznikami, na stole postawiłem tę małą choinkę z gwiazdką (z kartonu od papierosa) a zamiast świeczek przyczepiłem zapałki z czerwonymi główkami i całą posypałem proszkiem do zębów i całość mile wyglądała. (Inne cele z braku jodełki z miotły robiły choinkę). Pięć kawałków chleba było z opłatkiem, szósty był przeznaczony Żydowi. Na stole stało sześć misek a przy każdej garść słyżyków²⁴, kawałek bułki, parę landrynek. Mieliśmy i kawałek solonej ryby, którą zostawiliśmy na ten dzień. Gdy przyniesiono nam kolację o godz. 6-tej wszyscy stanęliśmy (taburetek nie było) koło stołu i tak spożywaliśmy naszą więzienną Wilję. Przy tej okazji powiedziałem do wszystkich parę słów. Naturalnie u wszystkich nas w oczach był smutek i każdy myślał o domu, o swoich. Myślałem o Mat-

20 Szefem "Liceum" była Barbara Sadowska pseudonim "Czarecka", "Robert" pracownik Wywiadu Dalekiego siężnego Komendy Głównej AK, więzień obozów stalinowskich od 1946 do 1954 roku.

21 Podobno był szefem "AUSZRY", wynikało to z odczytywanych zeznań po zakończonym śledztwie.

22 Prawdopodobnie z grupy Sikory.

23 Winno być Barsengow, pseudonim "Ciotka", aresztowany w Warszawie.

24 małe, drobne ciasteczka drożdżowe.

ce, która tyle przeżywa w takiej chwili, gdy przy stole zabrakło Tatusia i mnie. Myślałem o Nulce, że młode Jej życie nie jest usłane radością i szczęściem.

Zbliżał się Nowy Rok. Spotkanie N.Roku odbyło się w błogim śnie. Każdy naturalnie miał nadzieję, że ten Nowy Rok przyniesie nam zmianę. Spodziewaliśmy się, że z okazji 30-lecia Rewolucji Październikowej, może częściowo nam zmniejszą wyroki (każdy był przygotowany na 10 lat) lub może zajdą inne zmiany, które zadecydują o naszym losie.

15-tego stycznia 1947 r. wywołano mnie na "bukwę" w nocy. Dano do podpisania "zajawlenie" (zaświadczenie) o sądzie. Nazajutrz znów wywołują z wieszczami. Na podwórzu spotkałem się z całą naszą paczką. Gienek, Jarek i Hela byli wywołani bez wieszce i to ich niepokoiło, co to ma znaczyć. Wsadzili nas w krytą maszynę, w której było zupełnie ciemno i strasznie ciasno. Przywieziono do gmachu gdzie się mieści Wojenny Trybunał. W małej poczekalni siedliśmy na swych worach i zaczęliśmy rozmawiać. Pierwszy raz mogliśmy swobodnie porozmawiać. Posypały się pytania, opowiadania itp. Ale wkrótce wywołano na sąd. Rzeczy pozostały w poczekalni w której jeszcze było kilka osób "batawików" (kryminalistów) czekających swej kolejki. Tego dnia sąd się nie odbył, gdyż zawiadomienie o mającym się odbyć sądzie dano nam do podpisania, jak już wspomniałem, w nocy t.j. kilka godzin przed sądem, co jest sprzeczne z ustawą. Sąd był na tyle formalny, że zapowiedział, że sprawa dziś odbyć się nie może, a tylko 17-go b.m. Więc znów ze swojimi bagażami wróciliśmy do swoich cel. Między czasie "batawici" skorzystali by sprawdzić zawartość naszych worków, i ukradli, prawdopodobnie z żołnierzami, dużo produktów. Wynieśli ogółem około 12-tu kg tłuszczu, parę kg cukru i trochę ubrania. Ja jakoś szczęśliwie nie zostałem pokrzywdzony, gdyż mój worek był założony drugimi workami. A worki to były worki. Ledwo podnieść. Wsadzono nas znów do zakrytej więziennej maszyny i zawieźli z powrotem do MGB, gdzie ponowna rewizja rzeczy i ciała.

W parę dni później t.j. 17 stycznia 1947 roku odbył się sąd naszej grupy. Sąd trwał zaledwie kilka godzin. Cała procedura przypominała operetkę. Byłem zupełnie spokojny, gdyż z góry można było przewidzieć rezultat - wyrok²⁵.

Wszyscy byliśmy w dobrych humorach, żartowaliśmy, śmieliśmy się - nastrój był naprawdę dobry. Wiedzieliśmy, że tam przed gmachem sądu zebrali się nasi najbliżsi i to nas jeszcze bardziej podniecało i podnosiło na duchu i chcieliśmy pokazać, że trzymamy się mocno, że nie załamaliśmy się. Nic w nas nie było sztucznego. Wychodząc z sądu, na schodach zobaczyłem Matkę. Rzuciłem się w Jej objęcia, a ta krótka chwila, w czasie której mogłem Ją objąć i mocno, mocno przytulić, ucałować Ją - pozostała na zawsze w pamięci.

Wepchnięci w ciemną maszynę nie traciliśmy humoru i nastrój był silnie patriotyczny. Zaczęliśmy śpiewać hymn partyzancki "Wierzy płaczące" i "Wojenka Cudna Pani" i śpiewaliśmy chociaż na nas krzyczano i grożono. Śpiewaliśmy całą drogę aż

25 Wyrok Wojennego Trybunału w Wilnie w dniu 17 stycznia 1947 roku Eugeniusz Dawidowicz - 10 lat isprawielielnych trudowych łagieriej /zmarł w Warszawie w 1961 r./, Jarosław Kietczewski - 10 lat i.t.l. /zmarł w Słupsku/, Helena Garszwo - 10 lat i.t.l./zmarła w Gdańsku w 1991 r./, Jadwiga Lanczewiczówna - 10 lat i.t.l., Janina Stankiewiczówna - 7 lat i.t.l., Karol Montowtt - 10 i.t.l./podobno zmarł w łagrze/, Jerzy Borysowicz - 10 lat i.t.l., Wiktor Czepowicz - 7 lat i.t.l., Michał Monkiewicz - 7 lat i.t.l./zmarł w Ostródzie/, Tadeusz Lancewicz - 3 lata i.t.l., Władysław Korkoz - 1 rok z zaliczeniem odsiedzianych dni w stosunku potrójnym. Dla wszystkich - po odbyciu wyroku - wieloletnie lub bezterminowe zesłanie.

do Łukiszek. Przy MGB maszyna zatrzymała się. Wysiedli Gieniek, Hela i Jarek. Ich nastrój był gorszy, gdyż można było spodziewać, że jeszcze będą ich badali (w sprawie Kłajpedy)²⁶ i z wielkim żalem żegnali się z nami, tak chcieli być razem z nami. Pojechaliśmy dalej, pozostało nas ośmioro. Gdy wysiedliśmy na podwórzu więzienia na Łukiszkach, zobaczyliśmy przed sobą kilka korpusów gmachów więziennych i mnóstwo małych zakratowanych okien oświetlonych żarówkami.

Rozpoczęliśmy nowy etap naszej więziennej niedoli. Tyle się razy słyszało tę nazwę, dziś los przeznaczył nam samym zapoznać się być w tym więzieniu.

Po łaźni zaprowadzono nas na tak zwaną "petelnię" w 1-szym korpusie. "Petelnia" przypomina... zwierzyńiec, gdyż więźniowie są trzymani (chwilowo, dopóki uporządkują dokumenty i naznaczą celę) jakgdyby w niszach, w których trzy ściany są murowane, a czwarta wychodząca jakgdyby na małe wewnętrzne podwórze w samym gmachu, jest z krat. Takich nisz jest kilka i ze wszystkich nich, ta czwarta ściana z krat jest naprzeciwko innych ("podwórze" to ma kształt kwadratu czy też innej figury geometrycznej, zbliżonej do niego).

Siedząc w takiej niszy, po pewnym czasie zobaczyliśmy nasze dziewczynki, z którymi rozstaliśmy się przed łaźnią. Bardzo ucieszyliśmy się z ponownego spotkania i chociaż nie mogliśmy z nimi rozmawiać, jednak widzieliśmy, gdyż zamknięto je do niszy, która położona była prawie na przeciwko naszej. W przystępie dobrego humoru zaczęliśmy wydawać zwierzęce odgłosy i na całą petelnię było słychać miauczenie, szczekanie, wycie i inne podobne odgłosy, gdyż dziewczynki nam pomagały. Nikt specjalnie nie zwracał na nas uwagi, więc używaliśmy tej zabawy w pełni. Odrazu tu odczuliśmy, że reżym i dyscyplina w porównaniu z MGB jest o wiele, wiele słabsza. Było już chyba około godz. 10-tej wieczór, gdy zabrano nasze dziewczynki do celi, nie mogliśmy tylko zobaczyć na które piętro. Po chwili przyszli i po nas. Zaprowadzono nas do celi Nr 140 na trzecim piętrze. Cella nasza (dawniejsza za polskich czasów pojedynka) miała około dwóch metrów szerokości i około czterech m długości. Okno nie wielkie z wybitymi szklami wychodziło na podwórze, gdzie odbywały się pragułki. Byliśmy bardzo radzi, że nas nie rozłączono i byliśmy gospodarzami naszej celi, gdyż oprócz nas nikogo w celi nie było. Sprzęt naszej celi składał się tylko z ... paraszki. Na ścianach pozostały tylko ślady umywalki, szafeczek i ramy żelaznego składanego łóżka. Podłoga była asfaltowo-cementowa, w rogu był kaloryfer od centralnego ogrzewania, które kiedyś widocznie było czynne. Taka pojedynka na nas szczęściu była ciasnawa, ale tak byliśmy radzi, że jesteśmy wszyscy razem, że nie mamy "batawików", tak że o niczem innym i nie myśleliśmy. W parę dni później dano nam "sienniki" i nary. Mogliśmy się wyspać za wszystkie czasy, gdyż i w dzień leżeliśmy i tego nam nie broniono. Spacerować po celi było zbyt mało miejsca, ale po mimo tego często robiliśmy kołowe pragułki i śpiewaliśmy najrozmaitsze piosenki. W celi temperatura była literacka²⁷, a szczególnie gdy mróz na podwórzu sięgał dwadzieścia kilka stopni. Czasem było tak chłodno, że nie rozbieraliśmy się i nakrywaliśmy się czem tylko się dało. Woda w celi zamarzała.

Któregoś dnia, przez szparę w okienku, zobaczyliśmy nasze dziewczynki, które jak się okazało miały cele na tym samym korytarzu i przechodziły mimo naszej do "uborny" (wc). To nas bardzo ucieszyło. Rozpoczęła się korespondencja. Listy posyła-

26 Podobno "AUSZRA" obejmowała i Kłajpedę.

27 Bardzo zimno /regionalizm/.

liśmy przez bałandziora (ten który roznosi tak zwaną bałandę - zupę więzienną; nazywać zupę w ten sposób było surowo zabronione). Dziewczynki nie posiadały ołówka, więc "odpisywały" nam wykluwając litery szpilką. Z czasem nasza korespondencja przemieniła się w gazetkę "WC" (Wiadomości Codzienne), której ja byłem "redaktorem" i "wydawcą". "Gazetka" nasza składała się z kilku działów wiadomości politycznych, bieżących, kroniki dnia, ogłoszeń. Czasem do rąk naszych trafiała i prawdziwa gazeta. Czasem udało się nam z dziewczynkami zobaczyć. W czasie pragułki lub pamiętne "świdanije" w ubornej, zawdzięczając miłej dozorczyńni. Gdy ten fakt przypomnę, to i teraz śmiać się chce, bo to naprawdę nie codzienny był widok. Schadzka w "ubornoj". Dziewczynki przyszły z paraszką i nasi chłopcy również i witają się i całują zapominając gdzie w danym momencie są i co trzymają w ręku.

I tak upływał dzień za dniem. Zrobiliśmy z chleba szachy z kawałków papieru prowizoryczne karty i ukradkiem graliśmy w proferansa. Wieczorami urządzaliśmy "koncerty", opowiadania, dyskusje. I tak czekaliśmy co los nam przyniesie. Składaniu kasacji byłem przeciwny, gdyż uważałem, że to nie odniesie żadnego skutku, a z drugiej strony nie chciałem "ich" prosić. Ale dowiedzieliśmy się, że tych, którzy złożyli kasację nie wysyłają na etap dopóki nie przyjdzie odpowiedź. A ponieważ uważaliśmy, że każdy dzień pobytu w kraju jest naszą wygraną, więc napisaliśmy, dla formy poprostu, kilka słów i czekaliśmy rezultatu.

16-go lutego zabrano z naszej celi Korkoza, który wychodził na wolność, gdyż wyrok jego był bardzo łagodny (otrzymał rok z zaliczeniem odsiedzianych dni w stosunku potrójnym). Ten jego wyrok trochę nam się nie podobał. Albo wpłynęła na to forsa, której jego siostrze nie brakowało albo jakaś inna przyczyna. Prosiłem go by zabrał list i odniósł go Matce. Miał on i inne polecenia i zadania, ale nie wywiązał się z tego tak, jak się należało.

Pozostało nas pięciu. W celi tej przesiedzieliśmy dwa miesiące. 14 marca przeniesiono nas do III-go korpusu do celi Nr 428. Ze strachem wchodziliśmy do tej celi w obawie, że napadną na nas bawawiki i nie tylko odbiorą worki ale i rozbiorą. Takie wpadki w Łukiszkach były na porządku dziennym. O ile po "charoszem" (po dobroci) im się nie daje, napadają całą zgrają, rozbierają i pozostawiają tylko w bieliźnie. Bitwy często bywały, a ponieważ dozorczy zawsze byli ręką w rękę z bawawikami, więc polityczni zawsze byli pokrzywdzeni, winni i ich zamykano do karceru, bo walki były krwawe. Nam jakoś szczęśliwie przez cały czas pobytu w Łukiszkach udało się uniknąć starć.

Cela Nr 428 to była ogromna cela, trzy rzędy piętrowych nar, ludzi 170, powietrze ciężkie, dym, zaduch, pomimo otwartych okien przez które buchały kłęby pary. Czuliśmy się tu nie swojo wśród tylu ludzi, gdyż przyzwyczailiśmy się do swej małej, chociaż chłodnej celi 140-tej.

W celi zastałem Bronka. Jak bardzo z tego się ucieszyłem. Ulokowałem się koło niego, a on miał dobre miejsce, na górnej pryczy, koło okna. Chociaż z okna wiało mroźne powietrze, ale było tu o wiele lepiej niż na innych narach, gdzie nie było czem dyszeć. Okna naszej celi były bez "namordników" i wychodziły na ul. Więzienną i na mały placzyk przy niej. Przez okna było widać jak niesiono do więzienia paczki. To było okno na Swiat; widzieć ludzi, ulicę, domy, to było dla nas wprost nie do uwierzenia. Przy oknie godzinami całymi siedziałem i patrzyłem, patrzyłem i patrzyłem. Szczególnie lubiłem z rana, o wschodzie słońca. Tak ładnie wyglądały kościoły Św. Rafała i Jakuba. Patrząc na to wschodzące słońce, na dalekie wzgórza i

lasy i na ten kościół w promieniach słonecznych - odmawiałem poranną modlitwę. Ten obraz głęboko utkwiał w pamięci.

W nowej tej celi towarzystwo było mieszane. Pod względem narodowości większość stanowili Litwini. Polaków było 14-tu i kilku Rosjan. Liczby te wciąż się zmieniały, gdyż prawie co noc wywoływano tych, którym przyszła kasacja. Nasz III-ci korpus prawie cały składał się z cel w których byli pomieszczeni ci, którzy składali kasację i czekali odpowiedzi. Ponieważ kasacja szła do Moskwy, więc na odpowiedź trzeba było czekać nie mniej paru miesięcy. My, na przykład, czekaliśmy nawet cztery miesiące, i to była wygrana, gdyż zimę przetrwaliśmy na miejscu.

Z Polaków prawie wszyscy siedzieli za AK.

Jeden tylko niejaki Rodowicz, który podawał się za b. oficera Wojsk Polskich nie wzbudzał zaufania, gdyż był na Łukiszkach już kilka lat, podobno był "stukaczem"²⁸. Ponieważ Broniek i ja trzymaliśmy się względem niego z daleka, sądzę że to jego była robota, że nie dawali nam widzenia.

Z Litwinów, bardziej inteligentnych było nie wielu, większość stanowili wieśniacy i tak zwana półinteligencja litewska. Z ciekawszych osób to byli: ekonomista Brazauskas, studenci Petrauskas, Lenkaitis (sędzia), Sackus (sportsmen), ks. Siemaska, Pakstas i inni, nazwisk nie pamiętam. Towarzystwo między sobą dzieliło się na grupki w zależności od tego, co kogo interesowało. A więc była grupa, która uczyła się języków, angielskiego (wykładał Broniek), francuskiego, niemieckiego. Inna grupa zajmowała się literaturą, ekonomją, drudzy - zawodami o pierwszeństwo w szachach. Tak, że prawie każdy mógł dobrać sobie towarzystwo, jakie mu odpowiadało i co go interesowało.

Z rana i wieczorem była odmawiana wspólna modlitwa, którą odmawiał jeden z księży. Najbardziej chyba miłą rozrywką była pragułka. Prowadzono nas parami, z rękami na tył założonemi na duże podwórze koło I-szego korpusu. Pragułka trwała 20-30 minut i była miła nie tylko dlatego, że można było podyszeć świeżym powietrzem i użyć ruchu, ale i dlatego, że z okien patrzyły na nas dziewczynki z którymi "flirtowaliśmy" rozmawiając alfabetem niemych. W celi Nr 250 siedziała Janka, Jadzia, Tania i Basia, w sąsiedniej Nr 252 Marysia Tr. i jeszcze kilka osób (nazwisk nie pamiętam), w innej zaś jeszcze celi siedziała Magda. Tak powoli wracaliśmy do swej celi, każdą minutę chcieliśmy wykorzystać dla oczyszczenia płuc. Przypomniały mi się pragułki w MGB. Tam pragułka trwała 5-10 minut. Chodziliśmy w kółko w małym, wybrukowanym podwórzu, którego kwadratura była nie większa jak 20 m. Powietrze tam nie było świeże, gdyż był wylot od rur kanalizacyjnych, a po wtóre dym z prażarki siał się po ziemi w pochmurne, wilgotne dnie. Słońca nie widziałem ani razu. Raz tylko, gdy wyjątkowo pragułka odbywała się pod wieczór, zobaczyłem szczyt gmachu oświetlony promieniami słonecznymi. Jakie to było miłe. Zobaczyć promień słońca w przeciagu trzech miesięcy - to był pamiętny dzień.

Szczególnie ważną i cenioną była pragułka, gdy siedziałem w celi Nr 27, gdzie światło elektryczne paliło się w dzień i w nocy; cela była ciemna, ponura, wilgotna, powietrze okropne. Gdy wychodziliśmy na podwórze, na światło dzienne - oczy bolały. Przyglądaliśmy się sobie wzajemnie szukając na twarzy różowych żyłek krwi, lecz twarze nasze były białe, żółte, tak jak roślina bez światła.

Jeszcze jedno wydarzenie z MGB, które miało miejsce w styczniu 1946 r. Opowiadano mi, jak z celi przejściowej Nr 1 uciekło parę osób. Był to Polak, inżynier

28 Donosiciel.

hydraulik, który przeprowadzał w swoim czasie kanały kanalizacyjne i wodociągowe w obecnym gmachu MGB, drugim był Litwin. Ów inżynier pamiętał sieć kanalizacyjną i nocami dokopał się do rury kanalizacyjnej, która przechodziła przez jego celę. Przez tę rurę kanalizacyjną wraz z tym Litwinem uciekł. Ucieczka była pomyślna, ale zakończenie było ohydne. Będąc już dwadzieścia kilometrów za Wilnem prosił o nocleg u swego kolegi, również b. oficera polskiego. W nocy "gospodarz" zawiadomił policję, że u niego nocują zbiegowie. Przyjechał nawet sam minister generał Afimow. Gdy ów Polak zobaczył, że został zdradzony, chwycił rewolwer i wymierzył do generała, lecz okazało się, że broń rozładował jego "przyjaciel"... Przywieziono ich z powrotem do MGB i dłuższy czas trzymano w karcerze, a śledowatiele "ogłądali" ich i kpili.

Karcer w MGB był dwojaki. Suchy i mokry. Cella karcerowa miała podłogę cementową, małe okienko u góry, po środku wmurowany bufor wagonowy, który miał służyć za krzesło i paraszka. Kwadratura nie większa 4-5 metrów. Kto otrzymał mokry karcer, nalewano na podłogę wody, tak, że więzień musiał stać w wodzie. Można sobie wyobrazić jakie męczarnie przechodziła ofiara w czasie mrozów a wierzchnie ubranie również zabierano. Broniek siedział trzy doby w karcerze w styczniu tylko w bieliźnie (za to, że dyżurny zauważył jak "ostrzył" drewnianą łyżkę o podłogę, by służyła jako nóż do krajania) i tak zmarł, że rozcierając siebie, skórę stał z rąk.

Ale wróćmy znów do Łukiszek. Wielką radością i cennym zjawiskiem była dla nas gazeta, którą czasem przynosił "*Barbos*", któremu za to dawaliśmy parę buterbrodów. Czytaliśmy ukradkiem dzieliliśmy się wiadomościami bardzo dyskretnie, gdyż obawialiśmy się "stukaczy", a takich było kilku. Wiadomość, że Ameryka udzieli pomocy Grecji i Turcji wywołała wśród nas wielkie wrażenie, a szczególnie oświadczenie Trumana. Uważaliśmy, że taki stan rzeczy długo nie potrwa, że Bałkany znów staną się początkiem nowej wojny. Kiedy to nastąpi - zdania były podzielone. Większość uważała, że jednak rok ten 1947 może przynieść dużo niespodzianek.

Niedzielami wszystkie ołówki były w robocie. Pisano listy, by przez okazję, o ile ktoś otrzyma widzenie przestać swoim najbliższym.

W niedzielę palmową 31 marca wywołano mnie na widzenie. Byłem bardzo podniecony, układałem sobie w myśli co powiem, o co zapytam. A gdy zobaczyłem Matkę i zobaczyłem Jej kochaną twarz na której zostały wyryte ostatnie przeżycia, zapomniałem o wszystkim, myśli się plątały i nie wiedziałem co pytać, o czym opowiadać. Byłem zadowolony ze swego wyglądu, że trzymam się dobrze i że ze zdrowiem w porządku, przez co i Matce będzie przyjemniej i będzie czuła do pewnego stopnia spokój o mnie, bo przecież zdrowie to najważniejsza rzecz. Matka również była opanowana i przez cały czas zachowała spokój. Pożegnaliśmy się z pogodnym uśmiechem i wiarą, że doczekamy się, gdy znów będziemy razem.

Wielkanoc miłe pozostawiła wspomnienie, tylko brakowało mi Bronka, którego wywołano z "*wieszczami*". Bronka, Ambroszkiewicz i Bielawskiego (księdza) sprawa miała być ponownie rozpatrywana - prokurator założył protest przeciwko wyrokowi. Broniek miał 5 lat, Ambroszkiewicz 7, Bielawski 10.

Przed samą Wielkanocą, w Wielki Piątek przybyli do naszej celi Barsego "Ciotka", Dzierżanowski i Ryszard (nazwiska nie pamiętam). Barsego był zdolny do rysunków, więc "stół" Wielkanocny był ładnie ubrany, pojawiła się "czysta wyborowa", koszyk pisanek, a po środku stołu był herb z barwami narodowymi. Oprócz nas Polaków przy stole zasiadł ksiądz Siemaszko, który tej chwili nadał uroczysty charakter, i sied-

min nas z celi. My tylko jedni mieliśmy wspólny stół w swojej małej, jak tam nazywano, Polskiej Republice. Stół nasz był, jak na warunki więzienne, można powiedzieć, nawet obfity. Kilku z nas otrzymało tęgie pieredacze, a szczególnie paczki ze wsi - to były olbrzymie wory. Nastrój tego dnia był pogodny i miłe pozostawił wrażenie. Naturalnie, każdy z nas, dzieląc się jajkiem, myślał o swoich.

Na tym kończą się moje notatki spisane w 1948 roku w obozie przy ulicy Rossa w Wilnie.

Cz. II.

Czterdzieści lat później

Od tamtych wydarzeń minęło czterdzieści kilka lat, a jednak niektóre przeżycia, epizody z więziennych wędrówek i pobytu w łagrach pozostały w mojej pamięci do dzisiaj.

W aresztach i więzieniach MGB człowiek ginął bez śladu. Przez dwa miesiące mama ani Urząd Pracy nie wiedzieli co się ze mną stało. We wszystkich komisariatach NKWD i MGB w Kownie i Wilnie mamę informowano, że mnie tam nie ma. Poradzono, by zaadresowała paczkę na moje nazwisko i próbowała doręczyć w komisariatach NKWD i MGB. Rzeczywiście taką paczkę, po dwóch miesiącach poszukiwań, przyjęto w MGB przy ulicy Ofiarnej w Wilnie i był to dowód na to, że tam jestem.

Na każdym kroku podkreślano, że jesteśmy zdrajcami ojczyzny. Napis na naszych aktach sprawy *"Sowierszenno siekrietno - chranit' wieczno* (całkowicie tajne, nie podlega zniszczeniu) był bardzo wymowny. Byliśmy uważani za największych wrogów narodu. Zmiana warty na "wyżkach" otaczających łagier odbywała się przy głośno wymawianym zdaniu: *"Wartę nr ... dla ochrony wrogów narodu przekazuję", a w odpowiedzi padały te same słowa z dodatkiem "przyjmuję"*.

Na każdym kroku, przy każdej okazji podkreślano kim my jesteśmy, a jednocześnie bano się byśmy nie nawiązywali nielegalnych kontaktów. Listy do rodziny mogliśmy pisać tylko dwa razy do roku. Czasami dochodziło do absurdu. W łagrze o zaostrożonym reżymie, w polarnej strefie ZSRR widzieliśmy tylko tundrę, karłowate krzewy i czasami małe ptaszki podobne do wróbli, wielką atrakcją była wrona, która przylatywała do obozu, siadała na drutach i krakała. Nazywaliśmy ją *"siewiernyj soto-wiej"* /północny słowik/. Któregoś dnia strażnik zastrzelił ją. Pytaliśmy, dlaczego? Odpowiedział, że wrona mogła być łącznikiem i przenosić korespondencję poza łagier.

Niektórzy dozorczy specjalnie dokuczali nam. Pamiętam, gdy siedziałem w piwnicach MGB, któryś z dozorców zabierał nam zapałki, chociaż palenie papierosów w celach nie było zabronione. Zawsze znajdował się ktoś, przeważnie Rosjanin, który potrafił z kilku warstw waty i popiołu ze starych papierosów skrócić zwoik, który szybkimi ruchami pocierał o podłogę trzymanym w ręce butem, a po rozerwaniu zwoju, dmuchając powodował żarzenie się waty.

Codziennie wyprowadzani do pracy więźniowie byli kilkakrotnie liczeni przez dozorców i przez konwój, stosowano specjalne środki ostrożności, a zdawałoby się, że

za kręgiem polarnym, w głębokiej tundrze, z dala od wszelkich osiedli, przy metro-
wych warstwach śniegu, próba ucieczki była całkowicie nierealna. Po sprawdzeniu li-
czby więźniów, brygadami, po pięciu w rzędzie i wzięciu się pod ręce, cała kolumna
była otaczana psami i konwojem z karabinami gotowymi do strzału. Wtedy naczelnik
konwoju wygłaszał taką formułkę *"Kolumna wnimanije, szag w lewo, szag w prawo,
kanwoj prinimajet orużie bez prieduprieżdienia, jasno?"* (Kolumna uwaga! Krok w le-
wo, krok w prawo, konwój strzela bez uprzedzenia). Po powtórzeniu przez więźniów
słowa "jasno", kolumna ruszała do miejsca pracy. Zaostrzony reżym i ciągłe zastrasza-
nie nie zawsze odnosiło pożądany skutek. Przeciwnie, czasami odpowiedzią były kpi-
ny, niecenzuralne epitety, śmiech, a szczególnie z tych, którzy byli na froncie II woj-
ny światowej. Pamiętam, jak któregoś dnia, gdy naczelnik konwoju wygłosił codzienną
formułkę zakończoną słowem "jasno", kolumna odpowiedziała chórem "masło"! Roz-
złoszczony naczelnik konwoju, po kilkakrotnym powtórzeniu przez więźniów "masło",
krzyknął: *Kolumna tażys!* (Kolumna padnij) W odpowiedzi posypały się kpiny, śmiech
i nie cenzuralne słowa. Padł rozkaz oddania strażów ostrzegawczych, kolumna jednak
zignorowała to. Wtedy druga salwa została skierowana nad naszymi głowami. Tego
napięcia niektórzy nie wytrzymali, zaczęli się kłaść. Po pewnym czasie cała kolumna,
około tysiąca więźniów leżała w śniegu. Po pięciu czy dziesięciu minutach padł roz-
kaz *"Kolumna podnimajties!"* Ale nikt nie wstał. Minęła dłuższa chwila, naczelnik
zmienił ton i odezwał się jak gdyby z prośbą w głosie: *"No riebiata, dawajtie, pod-
nimajties"* (no chłopcy, wstawajcie). Z kolumny padły słowa *"Jeśli po charoszemu, to
po charoszemu"* (jeśli po dobroci, to po dobroci) i wszyscy wstali, kolumna ruszyła.

W czasie etapu, tj. transportu więźniów, z jednego łagru do drugiego, byliśmy bar-
dzo skrupulatnie sprawdzani. Były obcinane i zabierane wszystkie metalowe guziki,
klamry, igły /igłą ze sznurkiem o odpowiedniej długości można przeciąć deskę /
wszystkie proszki, sól. Pamiętam, jak byłem wezwany na etap z Inty do Mieźduricza
i w czasie rewizji moich rzeczy NKWDzista znalazł schowany w chlebie bardzo ład-
nie, artystycznie wykonany w oprawie z czarnego ebonitu małej scyzoryk wielkości
3-4 cm w kształcie czarnego męskiego półbuta. Wezwany oficer NKWD spytał dla-
czego schowałem ten *"baszmaczok"* scyzoryk. Odpowiedziałem, że wziąłem na pamięt-
kę. Roześmiał się ironicznie, rzucił wiązanek epitetów, a potem zapytał czy mam chu-
stkę do nosa. Odpowiedziałem twierdząco. Wtedy kazał bym chustkę kilkakrotnie ścis-
nął palcami i położył na przygotowanym papierze. Ostrożnie, nie dotykając chustki
zawinął ją w paperek i schował do specjalnie przygotowanego pojemnika. Od razu
zrozumiałem, że jestem podejrzany o przygotowanie ucieczki i dla pewności chustka z
moim zapachem była przygotowana dla psa...

Z północnych łagrów próba ucieczki, moim zdaniem, była całkowicie nierealna.

Ogromne zasy śniegu, dookoła tundra, żadnych osiedli. Zamiecie śnieżne tak zwa-
na *"purga"* były tak intensywne, że całkowicie można było stracić orientację, widocz-
ność ograniczała się do jednego metra. Czasami do stołówki chodziliśmy trzymając się
rozciągniętej liny. Wyjeżdżające z kopalni wagony z węglem były dokładnie sprawd-
zane. Metr po metrze, węgiel był kłuty dwumetrowym stalowym prętem i w razie,
gdy pręt nie docierał do dna wagonu (czasem był to kawał drewna), wagon był cofa-
ny do rozładunku i brygada otrzymywała zmniejszoną porcję chleba. (gdy byłem w
obozie koło Omska, z naszego łagru były dwie próby ucieczki. Jedna nieudana, druga
podobno zakończyła się pomyślnie. W tym obozie pracowaliśmy przy budowie ele-
ktrociepłowni. Młody chłopak, Polak z Grodna, z wyrokiem 25 lat, przygotował z

grubej liny jak gdyby siedzenie, odpowiednio linę zabezpieczył i spuścił się do stalowej rury o średnicy 50-60 cm. Było to na drugim czy trzecim piętrze. Prawdopodobnie spodziewał się, że z chwilą zakończenia roboty będą go szukali, ale gdy nie znajdą nawet z psami, strażnicy z wyżek strażniczych będą zdjęci. Mylił się. Po skończonej pracy straż pozostawała jeszcze przez 2-3 dni. Po dwóch dniach, gdy przyszliśmy do pracy usłyszeliśmy na dole jęki i wołanie. Po zdjęciu pokrywy z zaworu wypadł prawie nieprzytomny chłopak. Prawdopodobnie zmarł albo zasnął i przesunął się w rurze na parter. Za próbę ucieczki dostał miesiąc "buru" (barak o zaostrozonym reżimie) coś w rodzaju karceru, gdzie ciepły posiłek dają tylko raz dziennie, gołe nary, zimno i normalnie wyprowadzają do pracy. Potem przenieśli go do innego obozu.

W drugiej ucieczce, zbiorowej, brało udział pięciu więźniów. Jeden z nich, Rosjanin, podobno znał okolice Omska. Do ucieczki przygotowywali się bardzo starannie i ostrożnie. Na teren elektrociepłowni wjeżdżały pociągi z różnymi materiałami budowlanymi, między innymi wapnem. Grupa uciekinierów potajemnie przygotowała z desek poprzeczną ścianę wagonu o dokładnych wymiarach, pomazaną wapnem. Czekali na okazję, kiedy wagony po wapnie zostaną z terenu zabrane. Pięciu stanęło w poprzek wagonu obok siebie i naciągnęli przygotowaną ścianę tak, że wewnątrz było krótsze o 30-40 cm, a strażnicy sprawdzający wagony nie zwrócili na to uwagi. To była udana ucieczka, gdyż w obozach obowiązywała zasada, że każdy uciekinier żywy czy martwy zawsze był przywożony do tego obozu, z którego próbował uciec. Podobno kilkadziesiąt kilometrów od Omska znaleziono tę wykonaną ścianę wagonu i to było dowodem w jaki sposób uciekli.

W tych łagrach, w których ja byłem, Polaków było 20-30, co na obóz liczący około 2000 więźniów stanowi niewielki procent. Najwięcej było Ukraińców i Rosjan, a poza tym dużo było Litwinów Łotyszów, Estończyków, byli również Węgrzy, Niemcy, Japończycy, Koreańczycy. Istotną sprawą było, jakiej narodowości więźniowie opanowali stołówkę, "chleboriezkę", kaptiorkę gdzie przechowywane są paczki żywnościowe. W obozie często dochodziło do krwawych bitew "o władzę", niejeden przypłacił to życiem. A w dodatku o sytuacji w obozie decydowały takie elementy marginesu społecznego jak "błatnoj", "urka", "suka", którzy czasem całkowicie opanowywali punkty żywnościowe. W czasie mojego pobytu w łagrze komuś skradziono cukier i sprawcę złapano. Za karę postawiono go przy wejściu do stołówki z kartką z napisem "Ja sworował sachar" (ukradłem cukier). To była jedna z najcięższych kar.

Cukier, który ja otrzymałem w paczkach od mamy zawsze był w płóciennym worku, a na dole w szwie, na cieniutkiej bibułce było kilka istotnych słów na tematy nie tylko rodzinne.

Pamiętam tragiczne wydarzenie, które miało miejsce w łagrze, Młody chłopak. Polak z Grodna, wózkiem elektrycznym przewoził materiały. W tym czasie była remontowana olbrzymia suwnica i w pewnym momencie niezabezpieczony hak-podnośnik spadł na nogę tego chłopaka. Z trudem znaleźliśmy sznur, króрым zacisnęliśmy zmiażdżoną nogę. Zanim przybył specjalny konwój, by chłopca przewieźć do obozu, upłynęło sporo czasu. Wieczorem miał być operowany. W tym czasie zgasło światło, szukaliśmy świec, ale kto mógł mieć świece w obozie? Gdy ostatecznie znalazł się na stole operacyjnym trzeba było przeprowadzić transfuzję. Ale niełatwo było znaleźć chętnego. W tym czasie był wyświetlany film. Nasi chłopcy wstrzymali seans i zwró-

cili się z prośbą do wszystkich o oddanie krwi. Ale to było już zbyt późno, chłopak zmarł.

W 1953 r. gdy odbywał się pogrzeb Stalina, kazano nam przerwać pracę. Staliśmy w szeregu bez czapek dopóki gwizdały syreny. Syreny jedna po drugiej cichły, a nasza podłączona do kompresora wciąż wyła. Niektóre sąsiednie brygady rozeszły się, a my wciąż staliśmy. Okazało się, że ten więzień (był to Niemiec nadwożanin), który włączył syrenę bał się wyjść z szeregu by ją wyłączyć. Ostatecznie brygadzysta wyłączył syrenę, a Niemiec, który obsługiwał kompresor dostał trzy dni karceru. Wmówili mu, że umyślnie to zrobił.

Zaledwie kilku ZK ("*zakluczonych*") było "*pridurkami*", nie pracowali fizycznie. Pamiętam, gdy w obozie w Wilnie zapytano mnie "*kakaja wasza specjalność*" (jaki zawód) odpowiedziałem - "*ekonomist*". Odpowiedziano mi: "*Eto charaszo, bieri łopatu i idi ziemiū kopać*" (dobrze, bierz łopatę i kop ziemię). A w czasie robót ziemnych starsi stażem ZK przywitani mnie słowami: "*Jeśli budiesz tak kopać, to srazu padochniesz*" (Jeśli będziesz tak pracował od razu umrzesz). Według obozowych zasad trzeba szanować siły i jak najmniejszym wysiłkiem wykonywać pracę, kopać lub piłować drewno tak, aby dozorca nie mógł mieć pretensji. Palenie papierosów, to przerwa na "*pieriekur zakonno*" (regulaminowa przerwa), a gdy ktoś przestaje pracować od razu ostrym tonem usłyszysz uwagę "*dawaj, dawaj, bystro rabotaj*" (dalej, dalej, szybko pracuj).

W łagrze każdy starał się dostać do takiej pracy, która wymagała jak najmniejszego wysiłku. Ale o tym, czy ktoś może pracować jako elektryk czy tokarz decydowały tylko praktyczne umiejętności i specyfika obozowej pracy, to znaczy, żeby wszystkie urządzenia, maszyny pracowały do następnej zmiany. Praktycznie wyglądało to tak: o ile jakiś agregat psuł się i wymagał naprawy, trzeba było tak manipulować, żeby jakos wytrzymał do zmiany i każdy sposób był dobry. Na przykład na gorący silnik elektryczny robiliśmy okłady z zimnej wody.

Jako elektryk zacząłem pracować już w obozie w Wilnie, gdy poznałem głównego mechanika, od którego zależał przydział do brygady elektro-słusarzy. Moje wiadomości o elektryczności były dosyć skąpe, oparte na wiedzy wyniesionej z gimnazjum i praktycznych domowych naprawach, toteż jako dyżurny elektryk nieraz miałem poważne kłopoty. Kiedyś omyłkowo oświetlenie obozu podłączyłem na 380 V zamiast 220 V. Ochrona była zadowolona bo zrobiło się jaśniej niż zwykle, ale zaczęły pękać żarówki. Bałem się, że zostanę posądzony o sabotaż, ale jakoś szczęśliwie wybrnąłem z tej sytuacji. Innym razem trzeba było przełączyć zasilanie obozu, ale nie było elektryka z miasta by wyłączył transformator. Musiałem w słupotazach wejść na słup pod napięciem... W pewnym momencie straciłem przytomność gdyż przypadkowo głową dotknąłem przewodu. Gdy odzyskałem świadomość i zrozumiałem co się stało, zacząłem cały dygotać z przerażenia, bo nikt nie mógł mi pomóc na tym wysokim słupie.

Badanie zdrowia na przesyłce odbywało się w ten sposób: do rozebranego do naga ZK podchodził lekarz (?) i szczypiąc dwoma palcami robił skręta na pośladku. Jeżeli skóra wracała do pierwotnego położenia wystarczyło to by zakwalifikować do I czy II kategorii. Starsi lub schorowani z III i IV kategorią byli wysyłani do łagrów, gdzie praca była trochę łatwiejsza. Na przesyłce, gdzie przychodzili "kupcy" i wybierali odpowiedni "towar" do pracy do poszczególnych łagrów byłem w grupie z I i II kate-

gorią zdrowia. W grupie ok. 200 ZK byliśmy przeznaczeni na "Biełomorkanał", na budowę nowej transsyberyjskiej kolei na wiecznej zmarzlinie. To był jeden z najcięższych łagrów, gdyż co pewien czas obóz był przenoszony na inne miejsce. Chyba niewielu wróciło stamtąd. Na szczęście w nieszczęściu jeden z ZK zachorował na tyfus. Nałożono kwarantannę na dwa tygodnie, a w tym samym czasie zanotowano drugi przypadek tyfusu i w związku z tym "kupiec" zrezygnował z naszego kontyngentu.

Muszę wspomnieć i o "skwarce" w smalcu, który otrzymałem na Rossie przy ostatnim widzeniu z mamą. W smalcu trochę większą skwarką było pięć złotych rubli... Tę "skwarkę" udało mi się przechować i przywieźć do Polski, ale ile miałem z tym kłopotów! Kiedyś jedliśmy z Wiktorem Czepowiczem śniadanie i w pewnej chwili zobaczyłem, że Wiktor smaruje chleb smalcem z tą dużą "skwarką". W ostatniej chwili zdążyłem...

Każdy dowód pamięci list, paczka, książka były ogromnym przeżyciem i wielkim wzruszeniem nie tylko dla mnie, ale również dla całego grona kolegów w moim łagrze. Należałem do tych nielicznych Polaków, którzy utrzymywali kontakt z rodziną. Większość rodzin repatriowała się do Polski, co spowodowało, że korespondencja całkowicie się urwała, nawet za pośrednictwem Czerwonego Krzyża i Półksiężycy. Z łagrów, w których przebywałem, nie znam przykładu, by ktokolwiek nawiązał łączność z rodziną.

Jeżeli chodzi o książki, to cenzor w łagrze konfiskował wszystkie wydawnictwa sprzed 1917 roku, nawet w języku rosyjskim znanych pisarzy jak Tołstoj, Dostojewski czy Turgeniew. Toteż niezapomnianym do dziś przeżyciem dla mnie i dla wszystkich Polaków z mojego otoczenia było, gdy w grudniu 1953 r. otrzymałem od Lili²⁹ (obecnie Marchidan) "Pana Tadeusza" (wydanego w 1953 r. w Wilnie. Była to wyjątkowo miła i cenna pamiątka.

Wraz z "Panem Tadeuszem" Lili załączyła liść z gatunku przejściowego drzewa od liściastego do iglastego. Podobno, jak pisała, według legend ludów kaukaskich liść taki przynosi szczęście i posyłany jest na tradycyjne uroczystości rodzinne. Pokruszone kawałki tego liścia przetrwały wszystkie etapy i przywiozłem je ze sobą do Polski.

Po śmierci Stalina i Berii warunki obozowe trochę zaczęły się zmieniać. Zostały zdjęte wszyte w ubrania numery, po łagrze można było swobodnie chodzić, zaczęto stosować "zaczioty", zaliczać 1 dzień za 3 dni o ile wypełniło się 100% normy pracy. Ponieważ byłem w brygadzie elektryków, więc tylko od pomysłowości brygadzisty zależało wypełnienie planu. W elektryczności mało kto rozumiał niektóre określenia, dlatego też, gdy w dziennym raporcie brygadzista pisał "*Rozysk kosinusa fi*" (poszukiwania cosinusa fi) - to tę pracę przyjmowano z całkowitą aprobatą. A gdy po paru dniach pytano "*no kak, naszli etot fi?*" (czy znaleźliście?) - odpowiadaliśmy, że wciąż szukamy... Nic więc dziwnego, że nasza brygada wypełniała pracę w ponad 100%. Ponieważ w tej brygadzie większość miała wyroki po 25 lat, a tylko jeden Litwin i ja po 10 lat, więc byliśmy przedstawieni do przedterminowego zwolnienia. W tym samym czasie otrzymałem list od Nulki, która pisała " ... postanowiłam wyjść za mąż, postaraj się zapomnieć o mnie". To nie było tak łatwo, po tylu latach.

29 Koleżanka z gimnazjum.

I tak 23 grudnia 1954 r. zostałem z łagru zwolniony i skierowany na zesłanie do Karagandy. W Karagandzie wszyscy byliśmy ulokowani w baraku, ale już bez ochrony. Przyjeżdżali do nas kierownicy robót i proponowali według specjalności różny zakres pracy. Zgodziłem się na pracę elektryka przy budowie, ale jak się okazało na miejscu elektryka nie potrzebują. Ponieważ podpisałem umowę nie mogłem się wycofać. Zostałem oszukany - zmuszony zostałem do pracy jako ... pomocnik kowala.

Po pewnym czasie udało mi się zwolnić i zaangażować jako elektryk na nowo wybudowanej cegielni. Co dwa tygodnie musieliśmy meldować się u komendanta. Mieszkaliśmy w hotelu robotniczym i byłem na własnym utrzymaniu - za pracę otrzymaliśmy wynagrodzenie wg stawki. Te pierwsze dni, gdy swobodnie mogliśmy chodzić po mieście głęboko utkwiły w mej pamięci. W Karagandzie spotkałem z naszej sprawy Jarka Kiełczewskiego, Jadzię Krawczyk, z którą Jarek ożenił się, Helę Garszwo, Jankę Stankiewiczównę i sporą grupę Polaków z różnych dzielnic Polski. O powrocie do kraju nikomu się nie śniło, łączności z Polską w zasadzie nie było, toteż niektórzy zakładali nowe rodziny.

W listopadzie 1955 r. zaczęto nas wzywać do komendanta, gdzie dano nam do wypełnienia ankietę. Byliśmy bardzo zaskoczeni - w ankiecie między innymi było pytanie "*W jakuju narodnuju respubliku otprawliajetsia?*" (do jakiej republiki jesteś skierowany). Na zadane komendantowi pytanie, jak to należy rozumieć, odpowiedział: "*Toż ty Poliak, no to piszi w Narodnuju Polskuju Riespubliku*". Jesteś Polakiem, więc pisz, że do Polskiej Republiki. Nie chcieliśmy wierzyć, że to możliwe. Gazet nie mieliśmy, wiadomości o repatriacji nie docierały do nas. Toteż, gdy 30 listopada 1955 r. wsiadaliśmy do przeznaczanego specjalnie dla nas pociągu, a jechało nas kilkaset osób, byliśmy ogromnie wzruszeni. Do ostatniej chwili nie wierzyliśmy, że jedziemy do Polski. Wtedy myślą cofnąłem się ponad 9 lat, gdy w mroźną noc nasz etap załadowany do zimnych bydłeczych wagonów wyruszał z Wilna w kierunku północnej Syberii i wszyscy myśleli o jednym - czy wrócimy tutaj?

Gdy po dwóch tygodniach dojeżdżaliśmy do granicy Polski i gdy pociąg wolno wjeżdżał na teren zwany ziemią niczyją - w wagonach panowała śmiertelna cisza. W pewnej chwili NKWDziści zeskokczyli ze stopni wagonów (cały czas jechaliśmy pod konwojem). Gdy zobaczyliśmy na strażnicy polskiego żołnierza w wagonach rozległ się krzyk, śpiew i płacz radości - byliśmy w POLSCE!